

Igor

Tamtego życia już nie ma

Miałam zaledwie jedenaście lat, gdy mój świat runął w posadach. To co znane, dające poczucie przynależności i bezpieczeństwa - nagle, z niezrozumiałych wówczas dla mnie przyczyn - zostało mi bezpowrotnie zabrane. Wydarzenia minionych lat odcisnęły piętno na moim życiu, zamieniły się w niezabliźnioną, wciąż bolącą ranę. Choć obecnie mam wspaniałą rodzinę, mogę cieszyć się dziećmi, wnukami, prawnukami, tęsknota za utraconą ojczyzną tli się w moim sercu niczym ogień, który trawi je i niszczy...

To ja Igor – Łemek

Od najmłodszych lat miałem świadomość mojego pochodzenia. Wielokrotnie słyszałem w domu, że jestem Łemkiem. A właściwie pół – Łemkiem, bo moja mama jest Polką, natomiast tato Łemkiem. Rodzice pragnęli przedłużyć pamięć o Łemkach, aby wartości moich przodków nie zaginęły i były dobrem w naszej rodzinie. Zostałem ochrzczony w Cerkwi Prawosławnej i posługuję w niej jako ministrant, z czego jestem dumny. Wiara stanowi dla mnie bardzo ważną sferę życia duchowego. Obchodzimy święta zarówno polskie, jak i prawosławne. Moja rodzina jest dowodem na to, że mimo tak okrutnej historii związanej z przymusowym wysiedleniem Łemków, potrafimy żyć dalej, nie pielęgnując w sobie zawiści i zadry.

Łemkowszczyzna

Z Łemkowszczyzną jestem mocno związany, a słowo “Łemkowie” najmocniej kojarzy mi się z niewielką wsią - Bartne - znajdującą się w Beskidzie Niskim. Mieszkały tam niegdyś moje dwie ukochane prababcie - Maria i Nadzieja. Aktualnie tylko jedna z nich - prababcia Nadzieja, wróciła po wysiedleniu do Bartnego. Jeżdżę do niej na wakacje i ferie zimowe. Uwielbiam chwile spędzone w jej zacisznym domu. Chętnie bawię się z jej dwoma pieskami, a po zabawie wypoczywam przy piecu z susznią w kuchni. Tam jest „inny świat”, jakbym cofnął się w niewinnie naturalną przestrzeń. Tam jest nasza rodzina, historia i utracone nadzieje...

Jednak dzisiaj opowiem o mojej drugiej prababci Marii, której nie udało się wrócić na Beskid Niski, mimo że tak bardzo tego pragnęła. Niestety jej mąż zmarł w wieku zaledwie 42 lat, co spowodowało, że postanowiła zostać w miejscu, do którego została przesiedlona. Prababcia mieszka w domu, w którym się urodziłem i wychowałem. Mam wiele wspaniałych

wspomnień z nią związanych. Ona jest prawdziwą, cudowną, kochaną, troskliwą prababcią, która scala całą naszą rodzinę.



fot. Miejscowość Bartne z widokiem na cerkiew

“Igorku, chodź do cerkwi, pamiętaj, że Bóg jest najważniejszy” – mówiła do mnie z troską. „Pamiętaj, aby nigdy od Boga się nie odwracać, bo jak trwoha to do Boha. W Bartnem co niedziela chodziliśmy do cerkwi i modliliśmy się do Boga. Wiara pozwoliła mi wszystko przetrwać”.

Innego razu powiedziała z zachwytem wskazując na przydrożną kapliczkę z wizerunkiem Chrystusa Frasobliwego: *“Zobacz jaka piękna! Widziałam kiedyś w Świerzowej Ruskiej równie piękny krzyż przydrożny. Tatusь mówił mi, że podobno wykonał go Matej Cyrkot z Bartnego.”*



fot. Krzyż przydrożny w Świerzowej Ruskiej autorstwa Mateja Cyrkota.

“Radzisz sobie doskonale!” - chwaliła moje celne rzuty do bramki. „Gdy byłem mały chłopcy z Bartnego często bawili się w bicie świnki. Ustawiali 10 - centymetrowy drewniany klocek

na bryłce, po czym starali się trafić w niego za pomocą metrowego kija. Wygrywał ten, komu najczęściej udawało się zbić świnkę.”

Opowieści mojej prababci były pełne radosnych wspomnień. Choć wiedziałem, że jej los - podobnie jak los wielu Łemków – naznaczony jest tragicznymi wydarzeniami związanymi z przymusowym przesiedleniem przeprowadzonym w ramach akcji “Wisła”, dopiero niedawno zdobyłem się na odwagę, by zapytać, jak dokładnie wyglądały chwile, które na zawsze zmieniły jej życie. Oto jej opowieść...

Okruchy przeszłych dni

Nazywam się Maria Cyrkot, mam 86 lat. Historia, którą chcę się z wami podzielić, miała miejsce ponad 70 lat temu, dokładnie w 1947 roku. Miałam wówczas zaledwie jedenaście lat. Choć od tamtych wydarzeń minęło sporo czasu, pamiętam je tak dobrze, jakby miały miejsce wczoraj.

Urodziłam się w Bartnem, pięknej, górzystej wsi znajdującej się na północy Polski, nieopodal miasteczka o nazwie Gorlice. Mieszkaliśmy w łemkowskim domu zwanym chyżą. Na podwórzu biegały kury, nieopodal pasły się krowy, konie znajdujące się na padoku, pięknie prezentowały się na tle pobliskich polan i gór. Tato zajmował się uprawą pola oraz hodowlą zwierząt, mama oporządzała ogród warzywny i gotowała pyszne obiady. Ja natomiast zajmowałam się wypasaniem krów, ich wyprowadzaniem i przyprawianiem. Na wsi pomagaliśmy sobie nawzajem w pracach rolnych, wymienialiśmy się pozyskanymi zniwami, jedzeniem i w ten sposób toczyło się nasze życie. Nie byliśmy bogaci, ale też nie byliśmy biedni. Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, niczego nam nie brakowało. Pamiętam, że chodziłam z rodzicami na jagody i grzyby do lasu. Zbieraliśmy duże ilości, które sprzedawaliśmy na rynku w Gorlicach. Sprzedawaliśmy tam także pozyskane w gospodarstwie plony i produkty. Z tego kupowaliśmy na przykład sól, zapałki, materiały do uszycia ubrań. Na wsi jeden z mieszkańców zajmował się produkcją materiałów lnianych i oleju lnianego. Pamiętam, jak mama uczyła mnie płukać nowy materiał w strumieniu, aby stał się białutki jak śnieg. Później tę czynność wykonywałam samodzielnie. To było dla mnie bardzo przyjemne zajęcie, stałam zanurzona po kolana w rześkim, delikatnie rwącym strumieniu i płukałam materiał, wsłuchując się w szum potoku.

Chodziłam do Szkoły Podstawowej w Bartnem, do trzeciej lub czwartej klasy. Znajdowałam czas i na naukę, i na zabawę z dziećmi. Wraz z koleżankami robiłyśmy lalki ze szmatek, którymi się bawiłyśmy. Chłopcy konstruowali z gałęzi i sznurka proce, którymi strzelali. Lubiliśmy wszyscy razem biegać po pagórkach, bawić się w berka i chowanego.

Często, szczególnie latem, kąpaliśmy się w przepływającym przez wieś potoku Bartnianka. Lubiłam huśtać się na huśtawce wykonanej przez mojego tatę. Unosząc się do góry, spoglądałam na pobliskie stoki Dużego i Małego Magurycza, wyobrażając sobie, jak wędruję na szczyt. Kiedy zaś skakałam na siano w stodole, wydawało mi się, że potrafię latać niczym ptak. To był wspólny, beztroski czas, który na zawsze pozostanie w mojej pamięci.



Fot. Łemkowska chyża w Bartnem.

W mojej rodzinie wiara w Boga była i jest największą wartością. W domu mieliśmy prześliczną ikonę Jezusa, która miała swoje honorowe miejsce w głównym pomieszczeniu. Co wieczór modliłam się przed nią z rodzicami oraz swoim rodzeństwem. Każdej niedzieli chodziliśmy do cerkwi w Bartnem. Była to drewniana świątynia z pięknym ikonostasem. Spotykaliśmy się tam na nabożeństwie wraz z innymi mieszkańcami, aby podziękować Bogu za dobre życie.

Wygnanie

22 maja 1947r. - obudził mnie śpiew ptaków. Było ciepło i przyjemnie. Po długiej, mroźnej, ponurej zimie natura ponownie zaczęła budzić się do życia. Tego dnia - jak w każdą niedzielę - udałam się wraz z rodziną do Cerkwi. Nic nie zapowiadało tego, co za chwilę miało się wydarzyć. Podczas mszy do świątyni wtargnęli uzbrojeni polscy żołnierze. Zgromadzeni w cerkwi wierni zamarli na ich widok. Nikt nie wykonał żadnego ruchu. Mężczyźni i kobiety stali w miejscu - jakby zamienili się w kamienne rzeźby. Żołnierze bez najmniejszego problemu przedostali się na środek świątyni, po czym jeden z nich przemówił donośnym głosem:

- „W imieniu Państwa Polskiego zostaniecie przesiedleni na południe Polski, macie trzy godziny na zebranie wszystkich potrzebnych rzeczy i wyruszenie. Za nieposłuszeństwo grozi kara”.

W cerkwi zapanowała cisza. Nikt nie wiedział, co należy robić, jak postąpić. Ludzie nerwowo rozglądali się wokół siebie. Czy to się dzieje naprawdę? Co teraz z nami będzie? - pytałam samą siebie przerażona. Po kilku minutach, które trwały niczym wieczność, poczułam jak tato mocniej ściska moją dłoń i prowadzi do wyjścia. Za nami ruszyła Mama oraz moje rodzeństwo. Nie było czasu do stracenia. Musieliśmy jak najszybciej dotrzeć do swojej chyży, by przygotować się do wyjazdu w nieznane. W drodze do domu rodzice milczeli. Mama tylko raz wypowiedziała jedno zdanie. Zwracając się do taty, zapytała - „co z nami będzie”? Chociaż tato nie wypowiedział wówczas żadnego słowa, to jego dłonie - zaciśnięte w pięści, zmrużone oczy i smutne spojrzenie - stanowiły wyraz jego lęku, obaw i niezgody.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zaczęliśmy gorączkowo pakować na furmankę wszystkie potrzebne rzeczy. Zaraz po wejściu do domu, tato skrętnie owinął w materiał ikonę, przed którą każdego dnia modliliśmy się całą rodziną. Następnie zaczął wyciągać dokumenty, zdjęcia i chować je do mojej szkolnej teczki. W tym samym czasie mama pakowała jedzenie - zboże, ziemniaki, jajka, ser. My z kolei wkładaliśmy do drewnianych skrzyń nasze ubrania i inne przedmioty. Nie było ich zbyt wiele, a i tak - abyśmy mogli je pomieścić, musieliśmy wybrać - co możemy zabrać ze sobą, a co zostawić. Cały nasz dorobek przenieśliśmy na drewniany wóz. W pewnym momencie, usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Dźwięk ten spowodował, że panujący dotąd w domu harmider w jednym momencie ustał. Tato podszedł do drzwi i powoli je otworzył. Po drugiej stronie stali polscy żołnierze. Nie wiedziałam wówczas, czego właściwie chcieli od taty. Pamiętam tylko jedno słowo, które ciągle powtarzali - UPA... Dopiero po wielu latach dowiedziałam się, że tajemniczy wyraz oznaczał Ukraińską Powstańczą Armię. Żołnierze polscy, chodząc po łemkowskich chyżach, starali się tamtego dnia zatrzymać, a następnie uwięzić w obozie w Jaworzanie tych, na których padło podejrzenie o współpracę z banderowcami.

Droga w nieznane

Przejmujący smutek przeniknął moje serce, gdy szliśmy wielkim orszakiem z mojego ukochanego Bartnego w nieznane. Tato zaprzągnął konia i drewniany wóz z całym naszym dotychczasowym dorobkiem. Ja prowadziłam dwie krowy. Wyrwani z własnych korzeni i przeszłości, szliśmy w rozpacz. Młodsze dzieci płakały, a zatroskane o nich matki

próbowały je pocieszać. Nigdy tego nie zapomnę. Szliśmy bardzo długo, prawie osiem godzin. Zewsząd otaczali nas polscy żołnierze. Bardzo bolały mnie nogi, ale bałam się odezwać. Ci którzy stawiali opór bądź nie nadążali za pozostałymi byli wyciągani z tłumu, bici, wywożeni w nieznanym kierunku. Choć nie wiedziałam, co się z nami stanie, przeczuwałam, że nasze życie zmieni się już na zawsze. Po dotarciu na miejsce, poinformowano nas, iż znajdujemy się w Docznicy. Kazano nam czekać na polanie pod gołym niebem. Nie powiedziano jednak, jak długo będzie trwał postój. To było zatrważające, tym bardziej, że żołnierze nie odstępowali nas na krok. Mieszkańcy Bartnego rozłożyli się na pobliskim polu. Rozpalono ogniska, przy których przygotowywano skromny posiłek. Panowała bardzo napięta atmosfera. Byliśmy bacznie obserwowani przez pilnujących nas żołnierzy. Dorośli rozmawiali ze sobą szeptem, a my - dzieci - przeczuwając grozę sytuacji, jak nigdy dotąd nie dokazywałyśmy. To był najgorszy czas w moim życiu. Nocami nie mogłam zmrużyć oczu, bo zamykając powieki wyobrażałam sobie, że moim rodzicom coś się stanie i zostaną sama, a wtedy na pewno sobie nie poradzę. Łzy lały mi się strumieniem, nigdy nie czułam takiego przerażenia i smutku. Mama, widząc mój niepokój, leżała obok mnie, mocno przytulała i głaszcząc po włosach, śpiewała: *Hajciu lulu, lulu, a ja tebe stulu. Stulu ja tia stulu, pid zelenu dulu. Dula bude cwyty, Marynia chodyty...* Jej delikatny głos uspokajał mnie. Drugiego dnia rano zobaczyłam, że Tato rozmawia z jakimś Ukraińcem. Mężczyzna poprosił go o coś do picia. Tato nalał mu do kubka wody. Mężczyzna podziękował i powiedział, że około godziny 12:00 zostaniemy wywiezieni stąd pociągiem. Niestety nie wiedział, gdzie dokładnie mieliśmy trafić.

Około godziny 11.00 żołnierze zaczęli dzielić ludzi na małe grupki. Wśród mieszkańców Bratnego zapanował chaos. Kobiety lamentowały, dzieci płakały. Staralam się być dzielna, by nie pokazać innym, jak bardzo się boję. Strach był jednak silniejszy. Ostatecznie, wraz z sąsiadami, trafiliśmy do grupy, która miała zostać wywieziona do Raszówki. Około godziny 12.00 ruszyliśmy pieszo do pobliskiego Jasła. Zaprowadzono nas na peron i kazano wejść do wagonu towarowego. Wewnątrz panował ogromny ścisk. Do wagonu załadowano bowiem także zwierzęta gospodarskie. Kiedy zamknięto drzwi, zapanował mrok. Pociąg po chwili ruszył. Słyszałam jedynie miarowy stukot kół. Bardzo się bałam. Nie chciałam płakać, dlatego, aby się uspokoić, nuciłam po cichu kołysankę, którą poprzedniej nocy śpiewała mi mama. Nie wiem, jak długo trwała podróż. Może było to kilka, a może kilkanaście godzin. Kiedy podróżuje się w wagonie pozbawionym okien, kiedy widzi się przed sobą jedynie mrok, kiedy z powodu ścisku i duchoty brakuje tchu - każda minuta trwa niczym wieczność...

Ziemie Odzyskane

Gdy dotarliśmy na miejsce, Polacy pozwolili nam wyjść z wagonów. Po tak długim czasie przebywania w ciemności, moje oczy nie mogły przyzwyczać się do światła. Stałam na peronie, szturchana przez pozostałych pasażerów, którzy wydostawali się z wagonu. W pewnej chwili poczułam, jak czyjeś silne ręce unoszą mnie do góry. Równocześnie usłyszałam głos taty: „Chodź Marysiu, zobaczymy, gdzie nas przywieźli”. Odetchnęłam z ulgą. Choć nadal się bałam, wiedziałam, że w ramionach taty nic mi nie grozi. Obejmując go mocno za szyję, z odwagą spjrzałam przed siebie. Przed mną rozpościerał się ogromny, gęsty las. Widok ten przywołał wspomnienia. Oczami wyobraźni ujrzałam Bartne, potężne sosny oraz świerki porastające zbocza gór. Przypomniałam sobie wędrówki po lesie, podczas których mama uczyła nas, jak odróżniać grzyby jadalne od trujących. Stałyśmy z mamą w strumieniu po kolana w wodzie i przyglądałam się, jak uczy mnie płukać lniany materiał, a gdy to robiła krople wody spadały na moją twarz. W końcu zobaczyłam nasz dom... Jeszcze mocniej objęłam tatę. Ze wszystkich sił powstrzymywałam łzy, które napływały mi do oczu. Tak bardzo chciałam wrócić tam, gdzie się urodziłam i wychowałam, do miejsca moich zabaw, pracy i nauki. W tamtym momencie oddałabym wszystko, co mam, by wraz z rodziną ponownie stanąć na ojczystej ziemi. Nie było to jednak możliwe...

Gdy wszyscy ludzie opuścili wagon, na dworzec zajechały furmanki. Mężczyźni czym prędzej zaczęli pakować na nie swój dobytek - tobołki, walizy, skrzynie. Wyprowadzili również bydło, konie i owce. Na peronie zapanował chaos. Ludzie przepychali się, chcąc jak najszybciej wsiąść do wozu i pojechać... Tylko dokąd? Nikt nie wiedział, jaki czeka nas los.

Żołnierze zgromadzili nas na peronie, po czym podzielili na grupy i skierowali do określonej wsi. My mieliśmy trafić do Buczynki. Dotarliśmy tam pieszo. Tym razem, choć podróż także trwała długo, rozglądałam się po okolicy z zainteresowaniem. Widziałam zniszczone, opuszczone domy. Wiele z nich pozbawionych było okien, dachów, z niektórych pozostały jedynie zgliszcza. Najwyraźniej zawierucha wojenna odcisnęła swoje piętno na tych terenach. Choć bardzo się bałam, z niecierpliwością oczekiwałam momentu dotarcia do wsi. Byłam ciekawa, w jakim miejscu przyjdzie nam żyć. Buczynka rozczerowała mnie. Okazało się, że podobnie jak inne miejscowości, jest zupełnie zniszczona. Spośród wszystkich domostw, tato wybrał to, które wydawało mu się najbardziej solidne. Choć w oknach brakowało szyb, a w dachu widniała sporych rozmiarów dziura, dom był duży, a obejście w miarę zadbane. Gdy weszliśmy do środka, zobaczyliśmy porzucone sprzęty - łóżka, garnki, naczynia. Mama z typową dla siebie werwą zaczęła wydawać nam polecenia. Wnętrze

należało posprzątać i przygotować do pierwszego noclegu. W tym samym czasie tato szukał w obejściu narzędzi oraz desek. Chciał zabezpieczyć zniszczone okna, drzwi oraz dach. Tamtego wieczoru, gdy siedzieliśmy obok siebie stłoczeni w jednej izbie, głodni, zmarznięci, zmęczeni - uświadomiłam sobie, jak wielkimi jesteśmy szczęściarzami. Choć nasz los był niepewny, choć musieliśmy zostawić rodzinny dom i prawie cały dobytek, mieliśmy siebie nawzajem. Świadomość ta dodawała mi otuchy. Patrząc na moich najbliższych, z nadzieją myślałam o rozpoczynającym się dla nas nowym życiu.

Pamięć

Po moim dawnym życiu nie ma już śladu. Rodzinny dom w Bartnem przestał istnieć. Jego pozostałości pokryła ziemia. Tak jakby natura chciała raz na zawsze zatrzeć ślady naszej obecności, wymazać z przestrzeni to, co istniało przez wiele lat. Choć w moim sercu zapanował spokój, piętno wygnania wypalone w nim - boli do dziś...

Tymi słowami moja prababcia zakończyła opowieść o swoim życiu. Nie było to dla niej łatwe. Z ogromną wdzięcznością wsłuchiwałam się w każde wypowiedziane przez nią słowo. Dzięki temu uświadomiłam sobie, że kto nie doświadczył podobnych wydarzeń, nigdy nie zrozumie, czym jest tęsknota i żal spowodowany wygnaniem. Jej opowieść - niczym mit własnego życia - po wielu latach milczenia - stała się także moją opowieścią. To w niej znalazłam cząstkę własnej tożsamości, którą zamierzam strzec i przekazywać potomnym.